

20. ZŁOTE KSIĄŻECZKI

dla dzieci  
Młdzieży

I 290 236

Wilk morski  
u Ludożerców  
Opowieść byłego żeglarza.



NAKLADEM „NOWEGO WYDAWNICTWA”  
WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 141.

1890  
JAN  
1890

5000  
878

30V

ZŁOTE KSIĄŻECZKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

# Wilk morski u ludożerców

Opowieść byłego żeglarza

*Marczewski Michał*  
Napisał M. MIMAR. *[narw]*

z ilustracjami



NAKŁADEM „NOWEGO WYDAWNICTWA”  
WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 141.



ZAKŁADY GRAFICZNE  
JÓZEF POPIEL i S-ka  
CHŁODNA 27 TEL. 77-45.

I 290.236

## ROZDZIAŁ I.

### James Dikson w piwiarni „Pod zieloną papugą”.

Pewnego sierpniowego poranka, roku 1840-tego, kiedy to zastosowanie pary w żegludze morskiej święciło swój tryumf zdecydowany a niemal wszystkie porty angielskie posiadały już po kilkanaście parowców, James Dikson, stary wilk morski, ongi kapitan trójmasztowca „Lady Palmerston”, ostatecznie 82-tni emeryt „Wielkobrytyjskiego Towarzystwa kolonji morskich” siedział w piwiarni „pod zieloną papugą”, w ciasnej uliczce starego Doovru i pykał ze swej krótkiej fajeczki, przysłuchując się rozmowom otaczającej go młodzi.

Piwiarnia była pełną marynarzy, którzy to wchodzili to wychodzili, to skupiali się po kątach okopconej izby, gdzie prowadzono werbunek nowych sił na odpływające okręty, to tłoczyli się do ogólnego stołu, gdzie siadała starszyna, dzieląca się wrażeniami z ostatnio odbytych podróży.

Widać tam było czerstwą twarz Toma Rolsa ze szpakowatemi bokobrodami i łysą głowę Daniela

Wilkinsa i młodego Marka Plumtinga, sternika z „Północnej Gwiazdy”, która właśnie przybyła z brzegów lodowatej Grenlandji.

„Północna Gwiazda”, ciężki frachtowiec, przewożący węgiel do portów Norwegji i przywożący stamtąd przeważnie tran wielorybi, zaopatrzona była jużciż w śrubę, co na swe czasy należało do wielkich nowości.

Marek Plumting, który odbył swą praktykę na dość mizernym żaglowcu, nie miał słów podziwu dla „Północnej Gwiazdy”. Statek szedł z szybkością dochodzącą do 8-miu węzłów na godzinę, naturalnie jeżeli się rozwinęło wszystkie żagle do pomocy; „Północna Gwiazda” posiadała prócz maszyn jeszcze dwa maszty, z których jednakże nie korzystano zawsze.

— Ale pozatem, na „Północnej Gwiazdzie” człowiek się czuje zupełnie panem położenia. Nie potrzebuje czekać na wiatr pomyślny, nie boi się, że mu wichura maszty połamie; czy mu wieje czy nie wieje pcha się naprzód zawsze z jednakową szybkością i zawsze do lądu trafi byle mu tylko, rzecz prosta, paliwa nie zbrakło — kończył swe pochwały Plumting z tą pewnością przekonania, że nikt słowom jego zaprzeczyć nie może.

Zawiódł się jednak, bo właśnie tej końcowej tyrady nie mógł mu James Dikson przepuścić bezkarnie.

Do tej pory siedział milczący, w tej chwili jednak wyjął z ust fajkę, chrząknął jakby dla sprobowa-

— 8 —

nia głosu splunął po marynarSKU przez zaciśnięte zęby i zaśmiał się głośno, rubasznie.

— He he hel... Dobrześ powiedział mój Mar-ku, bardzo dobrześ „Póki mu paliwa nie zbrakło!... Ha ha ha!... Jużciż jużciż Sprawiedliwie! Bo jak mu węgielek wyjdzie, jak pod swym kociołkiem nie zapali, będzie musiał rozpinać wszystkie żagle i odmawiać pacierze gorliwie, aby byle Pan Bóg zesłał mu wiaterek pomyślny!... He he hel... Pomślny a i łagodny w sam raz ile potrzeba. Bo jak go jaki samum na drodze naścignie to!... Pisz testament bracie i wrzucaj do morza w zakorkowanej butelcel!... Może cię zanieść tam, skąd rzadko który wraca i skąd ja, swego czasu, jakim był taki jak ty młody, wróciłem tylko cudem!... He he hel... Nie takie przeżywaliśmy czasy. Cudem, cudem wracało się niemal z każdej podróży!...

Głos starego wilka a i ton tego głosu wywarły na otaczających jakieś dziwne wrażenie.

Nie było prawie człowieka tu, w porcie starego Doovru, któryby nie znał Jamesa i nie słyszał o jego przeżyciach niezwykłych niezmiernie ciekawe i powtarzane z ust do ust historie. Wiedzano, że stary widział na własne oczy węża morskiego długiego na trzy angielskie mile, że znane mu były bardzo dokładnie syreny, że omal nie rozmawiał osobiście z latającym holendrem, że pewien okres czasu przeżył na bezludnej wyspie, żywiąc się rybami i ptactwem chwytanymi w sieci i potrzaski i że wreszcie

gdzieś, na jakimś bardzo odległym lądzie, wśród dzikich ludzi, królował jakimś plemieniu o czem zresztą opowiadał rzadko i niechętnie.

Teraz, kiedy milczący zazwyczaj i w sobie zamknięty, przemówił wreszcie, zaśmiał się i wspomniał o cudzie, wszyscy przycichli a Tom Rols, iako starszy wśród młodych, bo siwiejący, zwrócił się do niego skwapliwie z zapytaniem.

— A czy nie moglibyście nam powiedzieć dokładniej skądście to, ojcze Diksonie, wrócili cudem, he?!... Byłoby to może dobrą nauką dla niejednego gołowąsa, który, gdy mu się na nowomodnym śrubowcu jazda udała, już myśli, że Pana Jezusa za nogi ułapił. Możeby taki zrozumiał, iż nie wszystko złoto co się świeci.

Stary wilk morski spojrzał Rolsowi bystro w oczy, jakby pragnąc odgadnąć jego intencję, zdawało mu się bowiem czasami że młodzi wyciągają go na opowieści, by sobie z nich potem pokpiwać. Tom jednak zachował minę poważną zupełnie i James chrząknął po chwili znowuż, przygotowując się do dłuższej historii.

— Hanol — rzekł — jeżeli kogo z was to zaciekawia, to mogę wam powtórzyć, co już inni odemnie słyszeli, jakim to znalazł się niechcący tam, gdzie znaleźć się nie zamierzał wcale i to nie dlatego bynajmniej, że nam paliwa nie starczyło, bośmy, rzecz prosta, na parę wcale nie jeździli, tylko że nas trąba



morska porwała, przeciw czemu nie poradzi żadna para, żadna w świecie śruba.

He he hel... Jeszcze się nie urodził taki mądry, któryby morzom i oceanom rozkazywał.

James Dikson pyknął ze swej krótkiej fajeczki, rzucił pogardliwe spojrzenie na Marka Plumtinga i rozpoczął.

— Było to temu lat... sześćdziesiąt. Byłem młody, bardzo młody i zielony taki jak oto nasz sternik z „Północnej Gwiazdy“. I mnie się zdawało wówczas, że na tej pięknej korwecie, na której pełniłem służbę zwykłego majtka mogę zajechać gdzie mi się tylko żywnie spodoba... Bo też co to była za korweta!... Phil phil... Co tu gadać!... Dość, że mieliśmy trzy żagle, dwa pokłady i po dwanaście dział z każdego boku. Ładunku braliśmy do tysiąca tonn, a załogę składało stu ludzi!... Kiedy mnie mój ówczesny kapitan, Harry Benjamin Burry, przyjął na statek, pamiętam jak dziś, byłem dumny niczem paw nadęty i tegoż wieczora upiłem się do utraty przytomności, chociaż, wiadomo powszechnie, iż nie mam zbytniego upodobania do alkoholu. Hanol wiadomol... kogo Pan Bóg chce ukarać temu przedewszystkiem rozum odejmie. Zaczynałem swą służbę na „Rubikonie“, tak się bowiem nazywała korweta, wyzbywszy się rozsądku.

Mieliśmy dotrzeć do Indji, wioząc sukna, tkaniny płócienne, rydle, łopaty, jakieś maszyny i jeszcze niezliczoną ilość pak z najróżnorodniejszym towarem, który zamierzaliśmy wymieniać po drodze na kość

słoniową, banany, ananasy, kauczuk i t. p. surowce, zanim byśmy mogli zabrać z powrotem większe partie bawełny, herbaty, a może kawy i ryżu.

Rozpoczęliśmy naszą podróż względnie szczęśliwie.

Jak dziś pamiętam w początkach czerwca 1780 r. podczas wspaniałej pogody, przy pomyślnym wietrze podnieśliśmy kotwicę zrana, a już ku wieczorowi dnia tego mijaliśmy skaliste brzegi Bretanii, powierając swe losy leniwie wzdymającym się falom oceanu Atlantyckiego.

Jedna tylko okoliczność zastanowiła wówczas naszego kucharza. Przy wyruszaniu z portu mianowicie spostrzegł on, że z dolnego triumfu, gdzie według jego zapewnień znajdowały się zazwyczaj w wielkiej ilości szczyry, szkodniki te wywędrowały zupełnie i pomimo najusilniejszych poszukiwań, obecności ich w innem miejscu okrętu nie udało mu się stwierdzić wcale.

Zmartwiło go to bardzo. Zapewniał wszystkich po kolei, że podróż nasza skończy się wielkiem nieszczęściem.

Był to człowiek stary, zabobonny zapewne ale, jak się niestety okazało wreszcie, wyczuwający biedę przez skórę.

Wówczas już ciż nikt nie wierzył jego przeczuć; znaleźli się nawet tacy, a i ja, głupi—młody, w ich liczbie, co oskarżyli go o sianie paniki wśród załogi przed drugim oficerem.



.W. K.

Rzecz prosta, że doszło to do kapitana i nasz kucharz zapłacił za przepowiadnie porządną porcją bizunów.

Za moich czasów na pokładzie statku panował rygor wojenny.

Nie zdążył jeszcze nasz kucharz przeboleć skutków nie trzymania języka za zębami, kiedy piękna pogoda z lekkim pomyślnym wiatkiem poczęła się psuć widocznie.

Przedewszystkiem barometr poszedł w górę niebywale.

Młody oficer na przednim pokładzie kręcił głową i zapewniał, iż nigdy jeszcze nie obserwował takiego wyżu i, że podług jego spostrzeżeń należało spodziewać się jakiejś gwałtownej zmiany. Tem niemniej posuwaliśmy się naprzód stale choć powoli, gdyż w miarę opuszczania się ku południowi wiatr ustawał, ustępując miejsca bezwzględnej niemal ciszy. I nastawały chwile, które dziś porównałbym do momentów braku paliwa na parowcu. Statek nasz, nasza wspaniała korweta, na której wszyscy my, młodzi, gotowi byliśmy dotrzeć do krańca świata, stawał w miejscu jakby na kotwicy i ani jeden żagiel, ani jedna linka na sztywnych masztach jego nie drgnęły, a kadłub „Rubikonu“ pełen trzasku, pisku i zgrzytu, tej muzyki życia i ruchu, pograżał się w martwą ciszę, przypominającą nam powagę i spokój miejsc wiecznego spoczynku.

I gdy się to ciągnęło godziny i dni całe mie-

liśmy wrażenie już wszyscy bez wyjątku, że okręt nasz to cmentarz prawdziwy, kajuty w nim — nasze mogiły, a my zaś; choć żywi, — to trupy chodzące.

Nie studziło to jednak bynajmniej naszego zapalu, nie gasiło wcale naszej wiary. Mimo powolne sprawdzanie się ponurych przeczuć naszego kucharza, gotowi byliśmy kpić sobie z niego, gdyby otrzymana chłosta nie sznurowała nam ust pochopnych do żartów, ale nie cynicznych jeszcze.

Dopiero groza tego, co nas wkrótce spotkało, nastroiła nas poważniej znacznie.

Do trzech dni ciszy, w czasie której ledwo zdołaliśmy dotrzeć do brzegów Afryki, zadął wiatr silny, który, wzmagając się z godziny na godzinę, przeszedł w huragan niezwykłej gwałtowności. Nigdy już potem nie obserwowałem tego dziwnego zjawiska. Niebo było bez chmurki, słońce świeciło jasno, a z północo-zachodu wiało na południo-wschód z mocą samumu, pędząc nas ku skalistemu lądowi, gdzie nasz „Rubikon“ roztrzaskałby się na drzazgi niezawodnie. Z nadzwyczajną trudnością udało się naszemu sternikowi wyprowadzić statek na pełne morze, a tam rozszalała wichura porwała nas niby piórko i niosła przez spienione bałwany z szybkością nieopisaną. Naturalnie, że zwinęliśmy wszystkie żagle. Była chwila, w której nasz kapitan zastanawiał się, czy nie kazać zrąbać jeden z naszych masztów. Co jakiś czas, kiedy tylko okręt odwrócił się do fali bokiem, olbrzymie słupy wodne zalewały nas do-

szczętnie. Należało trzymać się lin z całej siły i zachowywać czujność nadludzką niemal, gdyż każdemu z nas, pełniących służbę na pokładzie, groziła przy tej sposobności śmierć niechybna. Mimo to dwóch z moich towarzyszy zmyły fale morskie z foredeku w oczach wszystkich obecnych i nie było możliwości przyjść im z pomocą.

Wichura trwała bez przerwy dnie i noce przez dni z rzędu kilka. Przez te dnie mowy być nie mogło o spoczynku. Nie spaliśmy, lecz jedynie zapadaliśmy w jakieś omdlenie, z którego co chwila budziło nas gwałtowne miotanie się naszego „Rubikonu”. I znowuż każdy z nas miał to wrażenie, że okręt nasz zamienił się w olbrzymią beczkę, napełnioną w jednej trzeciej kartoflami, których rolę naturalnie myśmy odgrywali. Beczkę puszczono z wysokiej góry po chropowatej spadzistości. Podskakuje ona, toczy się, spada coraz chyżej na spotykane po drodze wyrwy i kamienie, a znajdujące się w niej kartofle, t. j. my, nieszczęsna załoga, tłuczemy się niemiłosiernie i trykamy się wzajemnie niby w szal wprowadzone barany.

Po trzech dniach takiej męki, zdało mi się, że nie wytrzymam dłużej i już nosiłem się z zamiarem rzucenia się w spienione dookoła wary, gdy na szczęście pewnego wieczora wiatrzysko uspokoiło się zupełnie.

Mogliśmy przyjść nieco do siebie, mogliśmy powoli przyprowadzić nasz roztrzęsiony „Rubikon”

do poprzedniego porządku. Kapitan nasz rozpoczął swoje obserwacje i wyliczenia, gdyż straciliśmy świadomość miejsca całkowicie, kiedy nagle zaskoczyła nas burza morska, taka, jak nam się zdało zwyczajna z grzmotami, piorunami, ulewą.

I znowuż żywiół, nad którym chcieliśmy panować, pochwycił nas w żelazne kleszcze swego kaprysu i znowuż niosło nas gdzieś, gdzieśmy wcale nie zdążali własnowolnie.

Jaka to była burza nie będę tu opowiadał — rzekł stary James, marszcząc brwi i chmurząc się na samo wspomnienie — dość, że przez następne dni kilka nie wiedzieliśmy, czy znajdujemy się nad wodą, czy też w wodzie, w przepastnych głębinach.

Poruszył się całym ciałem i zatrzęsł jak pudel, który wyskoczył z rzeki, zmuszany do aportowania.

— Brrl... Powiadam wam — wstawił pośepnie — człowiek nie jest stworzeniem zimno-wodnym i dla tego... dla tego marynarz, który musi nieraz siedzieć po uszy w tej mokrej słonej cieczy, pije., na zabój pije „whisky“.

Puścił smużkę dymu z wygasającej fajeczki i zawołał o nowy kufel pelelu.

Tom Rols, słuchający go uważnie, zrobił minę nieco rozczarowaną.

— Jakto ojcie Diksonie czy to wszystko z tym waszym „Rubikonem“ wspaniałą trzymasztową korwetą?...



Starzec spojrział nań pobłaźliwie.

— Nie, mój synu — odparł spokojnie — to tylko taka przegrywka zupełnie przyjemna... Taka zakąska przed zupą... O musztardzie zaraz się dowiecie. Z korwety, uważacie nie zostało ani kawałeczka...

— Rozbiliście się o podwodne rafy? — zapytał Wilkins.

— Wcaleśmy się nie rozbili, wcale — zaprzeczył James. — Przeciwnie; dostaliśmy się na ląd suchą nogą, z szalupy...

— Z szalupy?... — przerwał ze złośliwym zdziwieniem młody Marek Plumting. — A więc mimo wiatry i burze dobry marynarz może lądować gdzie sobie upatrzy?...

— Tak! — burknął stary — ale nie może przewidzieć kiedy dostanie się między ludożerców.

Powszechnie „Ha!“ zadowolenia przyjęło to nagłe oświadczenie. Opowiadanie stawało się coraz więcej zaciekawiające.

— Między ludożerców!

— Tak, tak! Między ludożerców — potakiwał James i pociągnawszy tęgi łyk z kufła, rozpoczął przerwana historję.

— Gdzieśmy się znajdowali, moi drodzy?... Nie wiem, wyznam szczerze. Burza zaskoczyła nas, mniej więcej, za przylądkiem Dobrej Nadziei. Miotłało nami, pędziło nas, kołowaliśmy i bładziliśmy już nie pamiętam wiele dni i nocy, dość, że pewnego poranka, kiedy znowuż zaświeciło nam słońce, ujrze-



liśmy wyspę zieloną, nieco górzystą, ale wcale pętnie wyglądającą. Im więcej zbliżaliśmy się do niej, tem więcej pociągała nas ku sobie susza. Na odległość pół strzału armatniego zarzuciliśmy kotwicę. Kapitan nasz, przyjrawszy się brzegowi przez lunetę, oświadczył, że wyspa jest zaludniona, a wkrótce wszyscyśmy dojrzeli czarnych, wylegających z zarośli gromadami.

Ludzie ci nie zdradzali bynajmniej żadnych względem nas złych zamiarów. Przeciwnie kiedy pierwsza szalupa nasza, pełna przeznaczonego na handel zamienny towaru, przybiła do piaszczystego brzegu, dzicy powitali ją okrzykami ukontentowania.

Topory, noże, świecidełka znaleźli chętnych nabywców.

Porozumiewaliśmy się na migi, a początkowa wzajemna nieufność po pierwszej wymianie naszych europejskich fabrykatów na baraninę, zniesioną w obfitości i kokosowe orzechy znikła bez śladu, ustępując miejsca pewnej nawet, że tak powiem zażyłości.

Druga, trzecia i czwarta szalupy wysadziły na brzeg połowę naszej załogi i zwiozły tyle koralików, zwierciadełek i innych więcej pożytecznych przedmiotów, że obdzielić nimi było można całą ludność wyspy. A ludność ta widocznie nie po raz pierwszy widziała u siebie białych i do handlu zamiennego była już przyzwyczajona przez naszych poprzedników, których los niestety był nam nieznanym zupełnie.

## ROZDZIAŁ II.

### Gościnni wyspiarze.

James Dikson musiał znowu zapalić fajeczkę, która mu była wygasła. Sięgnął do kapciucha, dobył szczyptę tytoniu, napchał nią główkę fajki, potarł zapalną o podeszew buta pyknął parę razy i, zwilżywszy gardło peelem, ciągnął dalej.

— Po dwóch dniach obcowania z czarnymi wyspiarzami przyszliśmy wszyscy do przekonania, iż byli to bardzo gościnni ludzie. Wszystko na co padły nasze wejrzenia ofiarowywano nam za byle bagatelę i to z taką gotowością uprzyjemnienia pobytu, iż nie mogliśmy nie ulec najnieprawdopodobniejszym złudzeniom. Na trzeci dzień o brzasku, ujrzelśmy naszą korwetę otoczoną ze wszystkich stron pirogami naszych czarnych przyjacieli. Pojawienie się ich niespodziane, wzbudziło uśpioną podejrzliwość niejednego; nasz kucharz, uznany zresztą za zwiastuna wszelkich niemożliwych nieszczęść, starał się przekonać młodszego oficera, dyżurującego w tej chwili na pokładzie, iż czarne djabły, jak nazywał wyspiarzy, mają zamiar napaść na okręt i zawładnąć nim przemocą. Błagał go na klęczkach, aby kazał strzelać do dzikusów z armat. Niestety i tym razem głos jego pozostał głosem wołającego na puszczy. Młodszy oficer wdał się w rozmowę z najbliższą łodzią i chociaż porozumienie było niezmiernie trudne,

dowiedział się za pomocą różnych znaków, że czarni ożywieni są najlepszymi ku nam uczuciami i że na dowód uznania, ich królik, pękaty tłuszcioch, ubrany w dziwaczny kostjum z piór nieznanych nam ptaków i obwieszony od stóp do głów paciorkami z zębów i pazurów różnych zwierząt, przybywa z chęcią złożenia naszemu kapitanowi wizyty na okręcie. Dzicy, byli niemal zupełnie bezbronni, kilka włóczy sterujących ponad głowami asysty kacyka nie przerażało nikogo z załogi, uzbrojonej w karabiny, pałasze i pistolety, tak, że kapitan mógł się zgodzić na przyjęcie gości bez cienia obawy, a nawet na powitanie tak wielkiego jak ich król dostojnika, kazał nam stanąć na pokładzie w dwa szeregi i prezentować broń, jak warta honowa.

Spuściliśmy trap, pomogliśmy tłuszciochowi wgramolić się na pokład środkowy i na daną komendę, daliśmy z karabinów ognia w powietrze, co wywołało wśród flotyli pirogów początkowo zamieszanie paniczne, a w następstwie przyjęte było oznakami zadowolenia.

Król czarnych, przewyciężywszy pierwszy moment przerażenia, zachowywał się podczas całej swej bytności na „Rubikonie“ z istic monarszą godnością. Przyjął z rąk kapitana w podarunku pistolet z workiem prochu i kulami i zaraz kazał jednemu ze swych podwładnych, złożyć wzdłuż burty, kilkadziesiąt sztuk kokosowych orzechów, dwóch prosiaków i tęgiego barana, którego windować musieliśmy z jego

łodzi na linach. A w łodzi tej znajdowały się jeszcze najrozmaitsze drobiazgi jako to: figurki, widocznie fetyszy, wycinane dość zręcznie z kolorowanego drzewa, bumerangi, broń zabawna i dla europejczyka dość niezwykła, gdyż powracająca za każdym razem do miejsca skąd została rzucona, wreszcie łuki ciężkie i trudne do naciągania dla rąk nienawykłych i strzały zatrute—wszystko upominki dla nas majtków z załogi.

Podzieliłiśmy to między siebie, chwając sobie wspaniałomyślność jego królewskiej mości, czarnego tłusciocha, któremu kapitan pokazywał naszego „Rubikona“. Dostojny gość interesował się naszą korwetą niezwykle. Oglądając kajuty oficerskie, co chwila wydawał gardłowe okrzyki zachwytu, a ujrawszy w naszej śpiżarni baryłkę rumu, którego dano mu skosztować dobrą szklanekę, wpadł w nastrój tak niepohamowanego zadowolenia, że, zapomniawszy niezawodnie o swojej wysokiej władzy, począł na czworakach tańczyć na tyle zabawnie, iżśmy wszyscy omal nie popękali ze śmiechu. Skończyło się na tem, że cała jego świta dostała po kilka kieliszków whisky i dzikusy, pijani zupełnie, opuszczali nasz pokład, obiecując przybyć dnia następnego. Nie wszystkim się to udało, gdyż dwóch z nich spadło z trapu do wody i mimo natychmiastową pomoc i z naszej strony i ze strony flotylli pirogów utonęło w głębinach morskich. Zdaje się, że pożarły ich rekiny, gdyż kilku z tych potworów ujrzeliśmy wkrótce potem opływających naszą korwetę.



Dnia następnego spotkała nas niespodzianka, o której nie marzyliśmy. Flotylla czarnych pojawiła się przed okrętem już znacznie przed wschodem słońca. Na przedzie jej płynęła wielka łódź królewska, a w niej, prócz kacyka i jego asysty, znajdował się murzyn w białych płóciennych majtkach, koszuli z i wielkim kapeluszem ryżowym na głowie, jakie noszą robotnicy plantacji na Cejlonie.

Okazało się, że istotnie murzyn ten długi czas przebywał wśród białych, jako niewolnik prawdopodobnie, miał pana, oczywiście anglika, któremu zbiegł ostatecznie, znalazł się na wyspie już w sposób niewyjaśniony, że zaś nauczył się swego czasu jako tako po angielsku, przyszło kacykowi na myśl użyć go teraz za tłumacza.

Zadziwiliśmy się niezmiernie, słysząc go z łodzi pozdrawiającego nas w naszym pięknym języku, zdziwiliśmy się i uradowali niezmiernie, gdyż nadarzała nam się sposobność teraz dowiedzieć się wreszcie gdzie naprawdę jesteśmy. Nadmienić bowiem muszę, że podczas ostatniej burzy pękł nam maszt środkowy i padając rozstrzaskał przednią burtę. Woda wdarła się do wnętrza korwety, zalała kajutę kapitana, a wary morskie porwały z niej niemal wszystkie instrumenty, bez których określenie miejsca naszego pobytu okazało się niemożliwością. Murzyn więc mówiący po angielsku, zjawiał się w samą porę.

Nazywał się Bim, zapewniał nas, że znajdujemy się w pobliżu Madagaskaru, co zresztą okazało

się nieprawdą i że, co interesowało nas niemniej mocno, wyspa, którąśmy mieli przed sobą, nazywa się Kura Mami, podlega władzy króla Kra Kra Tuwi, który czuje dla nas wiele wiele przyjaźni i prosi abysmy przyszli do jego „pałacu“, gdzie znajduje się „dużo dużo“ świń, „dużo dużo“ baranów i „dużo dużo“ pak znalezionych przez wojowników Kra Kra Tuwi „w brzuchu wielkiej pirogi“, wyrzuconej przez morze na północny brzeg wyspy przed „dużo dużo pełniami księżyca“.

Ta ostatnia wiadomość zaciekała kapitana.

— A cóż się w tych pakach znajduje? — zapytał Bima.

Murzyn zakiwał głową i wytrzeszczył oczy.

— Moja widzieć, moja patrzeć, moja brać w ręce rurki dużo dużo długie, przez które małego człowieka widać jak dużą dużą świnię, garnki, które się błyszczą jak słońce i w których widać twarz Bima dużo dużo szeroką i dużo dużo Biblje, z którą biały człowiek gada i w której siedzi mocny Bóg białego człowieka, który dał białemu człowiekowi niewiastę która zjadła jabłko...

Wynioskować z tego można było, że dzicy znaleźli się jakimś sposobem w posiadaniu jakichś księzek i jakichś instrumentów mierniczych z rozbitego u ich brzegów okrętu, instrumentów, które mogły się nam przydać bardzo. Należało się do nich dostać za jakąbądź cenę. Kapitan zarządził krótką naradę, w której wzięło udział kilkunastu starszych

majtków i większością głosów przyjął zaproszenie Kra Kra Tuwi.

Ta druga wizyta królewska zakończyła się jak i pierwsza probowaniem araku, tańcami na czworakach i nieszczęśliwym wypadkiem, z tą jedyną różnicą, że tylko jeden z pijanej świty kacyka wpadł do wody już z łodzi i pożarty został przez olbrzymiego rekina w okamgnieniu.

Na rekina tego dzicy urządzili niezwłocznie polowanie, ale bezskuteczne.

Dnia następnego wyruszyliśmy do „pałacu“ tego potwornego władcy przekłętej Kura Mami, która stała się bratnią mogiłą prawie wszystkich moich towarzyszy i zgubą naszej pięknej korwety.

### ROZDZIAŁ III.

#### Podstęp piekielny.

Stary James musiał odpocząć chwilę. Męczyły go już wspomnienia przygód dawno przeżytych, gardło mu zasychało. Znowuż nabił sobie fajeczkę, znowuż kazał podać pelelu, poczem, potarłszy czoło dłonią szeroką, powrócił do opowiadania.

— Rozkaz do wyjścia na ląd otrzymaliśmy o wschodzie słońca. Opuszczaliśmy korwetę, już ciż, po dwudziestu, uzbrojeni od stóp do głów, z karabinami, przy pełnych ładunkach. Okręt pozostawiliśmy pod opieką młodszego oficera, Irlandczyka, Harry Tompsona i pięciu ludzi z załogi, wśród któ-



rych znalazł się i nasz kucharz, nieboże, przeczuwający nieszczęście.

Ładowanie zabrało nam z godzinę czasu, pół godziny ustawialiśmy się w szeregi po czterech, tworząc dość długiego węża, w głowie którego siedł kapitan ze starszym swoim pomocnikiem, drugim oficerem i sternikiem. Temu naszemu szykowaniu się przypatrywali się czarni, zgromadzeni w niewielkiej ilości na wybrzeżu, czekali na nas Bim w płóciennych majtkach i kapeluszu ryżowym wraz z jakimś dryblasem ze świty królewskiej, mając nas przeprowadzić najprostsza drogą w głąb wyspy. Ja znajdowałem się w środku „węża“ razem ze szkotem Bobem Roy'em, serdecznym moim przyjacielem, starszym naszym kolegą Jerzym Donaldem i wilkiem morskim Johnem Kwingstonem. Szliśmy noga w nogę marszem, wolno, gdyż droga wznosiła się dość znacznie w górę, a przednie szeregi mieli dość ciężkie dary dla kacyka i jego przybocznych: baryłkę rumu, dużą beczkę whisky, wór cukru i skrzynię drobiazgów jako to toporków, noży, świecidełek i t. p. Uszliśmy może dwa tysiące kroków, gdy poza zarosłami, które ocieniały nam drogę, ujrzeliśmy przed sobą wąwóz dość wąski i stanowiący coś z rodzaju kurytarza pomiędzy dwoma pagórkami. Słońce grzało mocno, chłód panujący w wąwozie sprawiał nam przyjemność niemałą, wkraczaliśmy w parów ochoczo i dopiero później, kiedy ściany tego przejścia cudacznego jęły zwięzać się i wyrastać nad naszymi

głowami prestopadle, kiedy ciasno nam się wśród nich zrobiło tak, iż ledwo czwórkami mogliśmy przeciskać się naprzód, poczułem i ja brak powietrza i jakiś lęk instynktowny. W pewnym miejscu, kiedy chłonący nas mrok zgęstniał do ciemności niemal zupełnej, spojrzałem bezwiednie w bok i w czeluści jakiegoś czarnego otworu, dojrzałem punkcik dziwnie błyszczący. Nie myśląc, co robię, skoczyłem ku temu przedmiotowi, trafiłem nogą na okrągły kamień, straciłem równowagę i potoczyłem się w dół, zarywając rękami w syпки piasek. Ledwie się podniosłem wśród absolutnej nocy, poczułem jakby trzęsienie ziemi. Ściany o które oparłem się łokciami zadygotały gwałtownie, wejście, które miałem za plecami zamknęło się szczelnie, otoczył mnie gryzący w oczy pył, coś trzasło, coś zahuczalo nad głową i pochłoneła mnie straszna pustka, cisza i jakby nicość mogilna. Widocznie, że na chwilę straciłem przytomność zupełnie, gdyż kiedym wreszcie zdołał zebrać myśli, wyczułem, iż leżę na chłodnym zwirze i że po głowie mojej chodzą jakieś zwierzątka drobne. Ale był to tylko przeciąg świeżego powietrza, który wicherzył moją czuprynę. Zresztą nic nie widziałem, nic nie słyszałem i prawie że nie czułem nic, prócz niezwykłego osłabienia i zmagającej mnie senności. Wszystko co było, co otaczało mnie przedtem, może przed chwilą krótką zaledwie, znikło. Ani wawozu, ani towarzyszy, ani błyszczącego przedmiotu, ani ciemnej dziury, w którą się zapadłem, tylko jedna słaba i obojętna

mi już myśl, że koniec mój się już zbliża nieuchronnie, że teraz już czeka mnie nieubłagana śmierć.

— Jamesie Diksonie — mówiłem sobie w duszy. Rób ostatni rachunek sumienia. Pan wzywa cię na swój sąd. — Nie wiem co się ze mną działo i jak długo trwał ten dziwny stan, wiem tylko, że do przytomności przywołał mnie głos: — He hel... Jest tam kto?!... Hallol... Hallol... — Nadstawiłem ucha, poznałem głos Boba.

— Bob! czy to ty? — wrzasnąłem naraz z całej mocy.

— Już ciż że ja, Jamesie — odpowiedział, poznając mnie również.

— A gdzie ty się znajdujesz? — zapytał.

Nie umiałem odrzec.

— Albo ja wiem. Zdaje mi się, że już na tym świecie.

— Głupiś! — mruknął niezadowolony. — Nie kpij ze mnie, a raczej powiedz, czy twoje nogi leżą wyżej niż twoja głowa, czy też odwrotnie?

Miał słuszność niezaprzeczoną. Zacząłem badać moje położenie. Istotnie. Nogi moje leżały znacznie wyżej od mojej głowy, dlatego też krew mnie widocznie zalewała. Poprawiłem się i ulżyło mi od razu, o czym nie omieszkałem powiadomić przyjaciela.

— Ratujesz mi życie Bob! Byłbym się zadusił w podobnej pozycji. Co mam teraz robić?...

— Ano, drap się w górę, bo czuje, że leżysz niżej odemnie. Zdaje mi się, iż jesteśmy w jakimś

kominie, z którego musi być przecież wyjście; po wietrze z góry ciągnie.

I w tem miał rację. Powietrze szło ku mnie szeroką falą i oddychając nim, zyskiwałem siły i zwykłą jasność sądu. Wreszcie, zdobywszy się na energję, ruszyłem za głosem i po niejakiich wysiłkach trzymałem już Boba za nogę.

— Czy to ty Jamesie?

— Ja, Bobiel

Nie widzieliśmy się wcale, ale porozumiewać mogliśmy się swobodnie. Teraz pracowaliśmy wspólnie.

A była to robota niemal nadludzka. Pchaliśmy się ku górze łokciami i kolanami. Miałki piasek i pył leciał nam na głowy, zasypał oczy, nozdrza, tamując oddech, zapełniając usta, drapiąc w gardle niemłosierdzie; z pod nóg, z pod łokci usuwały się ruchome kamienie, sypiąc się w dół z ostrym szelestem, uderzając z głuchym łoskotem o jakieś dno niewidoczne. Co jakiś czas natrafialiśmy na ściany mniej twarde, więcej zrychłone i tracąc punkty oparcia, zsuwaliliśmy się na dół z szaloną szybkością, poczem trzeba było gramolić się w górę znowuż, z trwogą w sercach, że to się powtórzy raz jeszcze. Kiedyśmy się zmęczyli zupełnie, kiedyśmy tracili sił ostatki, ponad głowami naszymi zamajaczyło światło bladawe. Kiedyśmy się wydostali na górę, słońce kłoniło się ku zachodowi.

## ROZDZIAŁ IV.

### Krwawa uczta. — Krwawa zemsta i cudowne ocalenie.

Ojciec Dikson musiał tym razem odpocząć nieco dłużej. Stary wzruszał się, przeżywając podczas opowiadania raz jeszcze całą prozę ówczesnych swoich wydarzeń. Musiał nowym kuflem pelelu zwilżyć gardło, które mu zasychało, musiał nową porcją tytoniu wzmocnić siły do zakończenia ponurej historii. Wreszcie zaczął głosem stanowczym.

— Odgadujecie, moi drodzy, co się stało?... Dziwne, prawda?... A jednak to było proste, proste w całym swoim piekielnym pomysłem. Oto dzikusy, pragnąc zawładnąć naszą korwetą, której ładunek, szczególnie rumu i whisky, tak przypadł im do smaku, a nie śmiejąc atakować stu ludzi załogi, zbrojnej w karabiny i mającej do rozporządzenia działa, zamierzali zniszczyć nas za jednym zamachem i pogrzebać w tym przeklętym wąwozie. Gdyśmy się znaleźli na górze, mogliśmy się przekonać, że te czarne bestje podważyły wierzchołki obydwuch ścian wąwozu w najwęższym jego miejscu i zwabiwszy nas tam, stoczyły nam te potężne bloki kamieni na głowy. 96-ciu naszych towarzyszy znalazło śmierć męczeńską; uratowało się tylko czterech z mojego szeregu: ja, Bob, Donald i Kwingston. Ci dwaj ostatni wyleźli na wierzch drugą podobną do naszej szcze-

liną, wytlóbloną widocznie w porze deszczowej przez wody. Tak czterech nas ocalało. Wygramoliwszy się z naszego komina, ku wielkiej naszej radości ujrzeliśmy Donalda i Kwingstona czekających jakby na nas tylko. Rzuciliśmy się ku nim w pierwszym uniesieniu, jako cudownie uratowani, lecz obydwaj byli strasznie wzburzeni, a Kwingston jakby zdradzał objawy pomieszania zmysłów.

— Chodźcie z nami, chodźcie z nami! Zobaczycie dalszy ciąg tragedji!... — wołał, wymachując rękami.

Ciągnął nas na brzeg skały, kiedy Donald zamykał oczy i zaciskał obie pięści koło skroni.

— Święty Patrycy! Jesteśmy bezsilni! Święty Patrycy!...

Pobiegliśmy za nimi na zwisający nad przepaścią cypel, skąd roztaczał się widok, którego nie zapomnę nigdy...

Nasza korweta stała na kotwicy, ale na niej kotłowali się czarni. Kołem otaczała ją flotylla pirogów.

— Co to znaczy? — wyrwało mi się mimowoli.

— Zdobyli! — zaryczał Kwingston ochryple — zdobyli!

— A Harry Tompson? — zapytał Bob.

Straszny śmiech Donalda, zamknął mu usta.

— Harry Tompson wraz z pięcioma naszymi kolegami bronił się zawzięcie. Walczyli jak lwy, jak tygrysy, ale...

Nagle wskazał nam na płaszczyste pobrzeże wyspy, gdzieśmy lądowali, gdzieśmy na banany i bananinę, wymienili pierwsze noże i siekiery.

— Harry Tompson i pięciu naszych towarzyszy znajduje się teraz tam i za chwilę będzie przez tych obrzydłych ludożerców pożarty!

Chwycił się za głowę w rozpacz.

— Święty Patrycy! Święty Patrycy! Jesteśmy bezsilni, zupełnie bezsilni...

I prawda. Było nas czterech, prawie ponad głowami kanibalów i patrzyliśmy z założonymi rękami, jak czarna tłuszcza dygotała z pragnienia, by zakosztować tylko ludzkiego mięsa, a tem ludzkim mięsem, byli nasi rodacy — biali.

Widzieliśmy jak leżeli spętani, nadzy, wyczekujący swej kolei, kiedy rozniecane obok ognie zapłoną żywym płomieniem, kiedy litościwy nóż oprawcy przetnie ich męczarnie; widzieliśmy kiedy potworny dzikus, uzbrojony w potężną maczugę, gruchotał im nią kości nóg, by potrawa była smaczniejsza, widzieliśmy jak pieczono z nich każdego powoli, i jak ostatniego na ogień wleczono naszego nieszczęśliwca kucharza, który jeden tylko przewidział swój koniec żalosny.

Nie wstrzymałem. Miałem wszak przy sobie kabin nabyty. Zerwałem go z ramienia, wymierzyłem go w kupę. Na szczęście Kwingston zatrzymał mnie w porę.

— Co robisz warjacie! Zgubisz nas wszystkich

sobie nie pomożesz i ocalisz od zasłużonej kary to byłoby krwiożercze. Na nich spaść musi zemsta, zemsta straszna! Polegajcie na mnie! Mam plan wspinał się!

I plan ten przyjęliśmy i wykonaliśmy całkowicie.

Gdy noc zapadła, a czarni na wybrzeżu, skończywszy ucztę, wszyscy gromadnie przepłynęli pirogami na okręt, gdzie rozpoczęła się orgja przy beczkach z wódką i arakiem, spuściliśmy się z góry ku miejscu, w którym znajdowała się jedna, zapomniana przez wyspiarzy, nasza szalupa. Jakiś ludożerca zastąpił nam drogę. Bob Roy chwycił go za gardło i dźgnął nożem w brzuch, powierciwszy kilka razy. Dzikus padł nie wydawszy jęku. Spuściliśmy szalupę na wodę i odplynęliśmy od brzegu bez szelestu.

Na wyspie panowała cisza martwa. Zasypani w wąwozie nasi towarzysze spali snem wiecznym. Na pagórku, gdzie odbywała się orgja ludożerców, dogasały ogniska, posyłając ku niebu wąskie wstążeczki niebieskawego dymu, niczem ołtarze ofiar całopalnych, przyjętych dobrotliwie przez niewyczerpane miłosierdzie sprawiedliwego a nierychliwego Boga. Ani jedna zmarszczka nie fałdowała gładkiej powierzchni morza, w której przeglądały się jedynie światełka pochodni pozapalanych przez „wojowników jego królewskiej mości, zdradzieckiego Kra Kra Tuwi“, zalewającego teraz robaka, z pełnych kadzi „zdobytej“ przez niego korwety.



I tylko z tej naszej nieszczęsnej kórwety, na której mieliśmy świat cały okrążyć, rozlegały się teraz wrzaski przeraźliwe.

Mogliśmy śmiało więc zanurzać nasze wiosła i pchać naszą szalupę całą siłą mięśni; ich plusk, ich tarcie się o dulki kwiczące w burcie, ginęły w pijanym wszasku świętującej swój tryumf tłuszczy.

— Bawcie się kotki, bawcie — mruzczał Kwingston, łypiąc przekrwionemi białkami oczów — spieszcie się, aby nasycić wasze pragnienie użycia. Godziny wasze są już policzone. Nie godziny to już, ale tylko minuty.

Gdyśmy podpłynęli pod statek dość blisko, stary John kazał nam zatrzymać szalupę. Szybko rzucił z siebie ubranie przeżegnał się i dał nurka pod wodę.

Mieliśmy obawę, by nie natknął się na rekina, Kwingston jednak machnął tylko ręką.

— Mam ja i na tych kanarków radę; niedarmo trzydzieści lat po oceanie jeżdżę.

Wziął długi nóż w zęby.

Czekaliśmy na jego powrót dość długo, tak długo, że aż się nam to całą wiecznością wydało. Przychodziły nam do głowy najdziwaczniejsze domysły.

Jeżeli go rekin nie zcapił... Bahl stary był zbyt siebie pewny... Pozaczem rekiny w nocy... I taki żarłok też musi odpoczywać kiedyś... Że zaś Johna na okręcie nikt nie zauważył mieliśmy tego dowód przed oczami.

Na „Rubikonie” panowały: pijatyka, tańce, wrzaski, niezamącona zabawa, przy czerwonych płomieniach pochodni, które migotliwymi blaskami odbijały się w wodzie.

Nareszcie Kwingston zasapał koło szalupy. Chwytał za burłę, skoczył na ławkę i oczy mu się iskrzyły.

— Uderzaj w wiosła!... Nalegaj całą siłą!... Nie mamy chwili do stracenia!

Zaśmiał się po szatańsku i odwróciwszy ku korwecie pogroził w powietrzu pięścią.

Ja wiem koteczki gdzie na statku znajduje się prochownia!

Ledwośmy odплыnęli w ciemną noc parę jardów, kiedy krwawa luna oświetliła morze i straszny huk rozdarł ciszę. To nasza korweta wyleciała w powietrze.

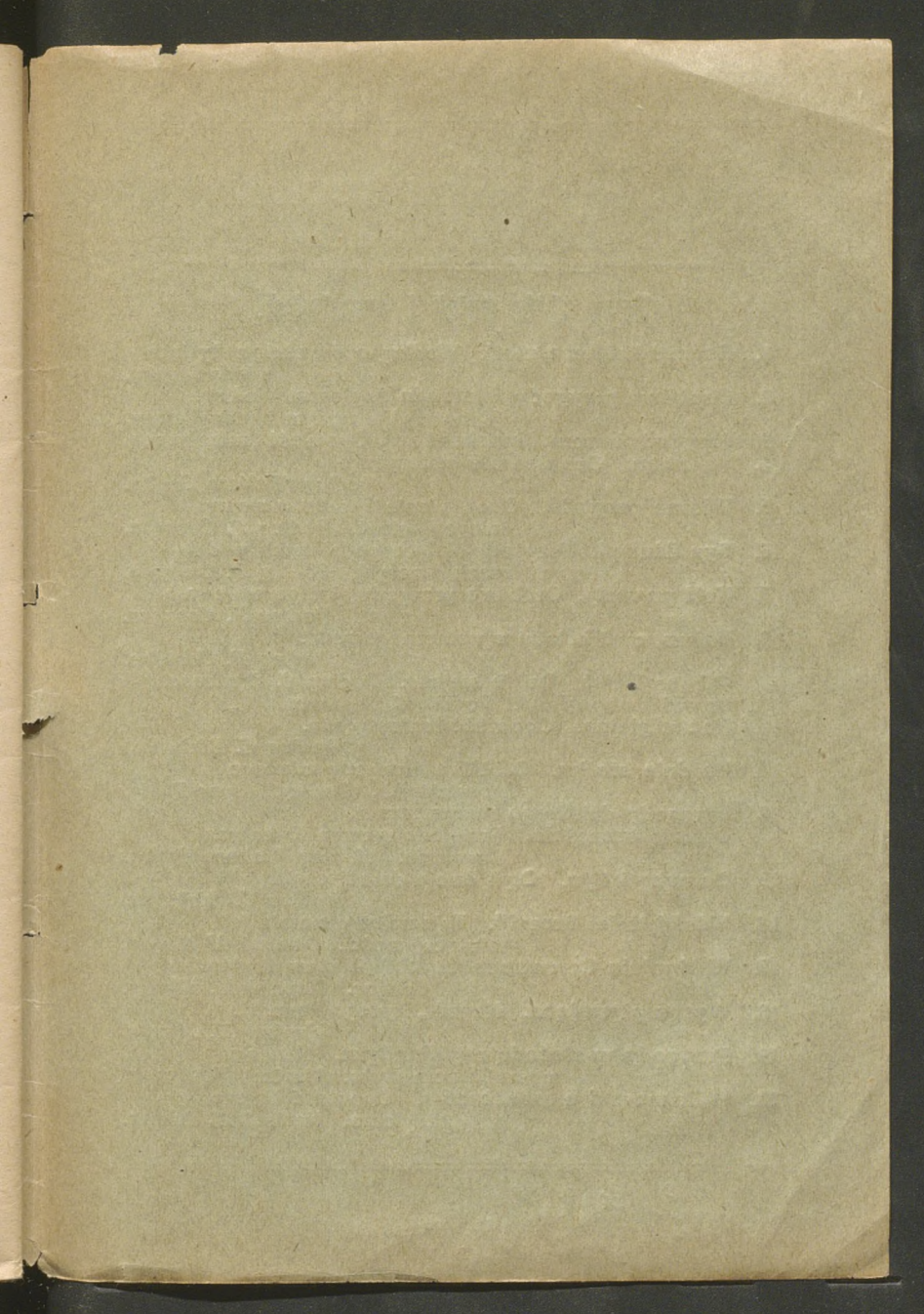
Dnia następnego, koło południa, daleko już od wyspy na oceanie znalazł nas wyczerpanych zupełnie, omdlałych z głodu i pragnienia statek handlowy i zabrał na swój pokład.

Ocaleliśmy, rzecz chyba widoczna, tylko cudem.

K O N I E C .



7541/30



12. SRP. 1930

# Złote Książeczki

dla dzieci i młodzieży

## Nowy zbiór bajek i opowiadań.

1. **Asem i królowa nimf.** Według opowieści z tysiąca i jednej nocy.
2. **Osobliwe przygody Sindbada żeglarza.** Według opowieści z tysiąca i jednej nocy.
3. **Przygody barona Munchausena.** Opowieść fantastyczna.
4. **Talizman.** Opowiadanie historyczne.  
Podług *Waltera Scotta*.
5. **Wierna przyjaźń.** Opowiadanie z czasów wojny o niepodległość. Podług *F. Coopera*.
6. **Syn dżungli.** Przygody białych podróżnych w dziewicznych lasach Ameryki. Podług *F. Coopera*.
7. **Król puszczy.** Osobliwe przygody białego wojownika.  
Podług *F. Coopera*.
8. **Unkas, czyli ostatni z walecznego rodu.**  
Podług *F. Coopera*.
9. **Oliwer Twist.** Dzieje sieroty. Podług *C. Dickensa*.
10. **Dawid Kopperfield.** Podług *C. Dickensa*.
11. **Noc wigilijna.** Opowieść fantastyczna.  
Podług *C. Dickensa*.
12. **Na dnie statku.** Osobliwe przygody młodego podróżnika. Podług *Mayne-Reida*.
13. **Przygody dzielnego marynarza.**
14. **Dziecię szczęścia.** Przygody rycerza Kwentyna Durwarda. Według *Waltera Scotta*.
15. **Dombey i Syn.** Czyli dzieje dobrej córki.  
Podług *C. Dickensa*.
16. **Wśród Kniei Brazylii.** Tajemnica generała jej książęcej mości. Napisał *M. Mimar*.
17. **W krainie Czerwonoskórych.** W niewoli plemienia Lengua. Napisał *M. Mimar*.
18. **Wyspa pływająca.** Napad „Sępiego Pazura”.  
Napisał *M. Mimar*.
19. **Przygody w złotodajnej Klondyke.** Historia poszukiwacza złota. Napisał *M. Mimar*.
20. **Wilk morski u ludożerców.** Opowieść byłego żeglarza. Napisał *M. Mimar*.

757/30